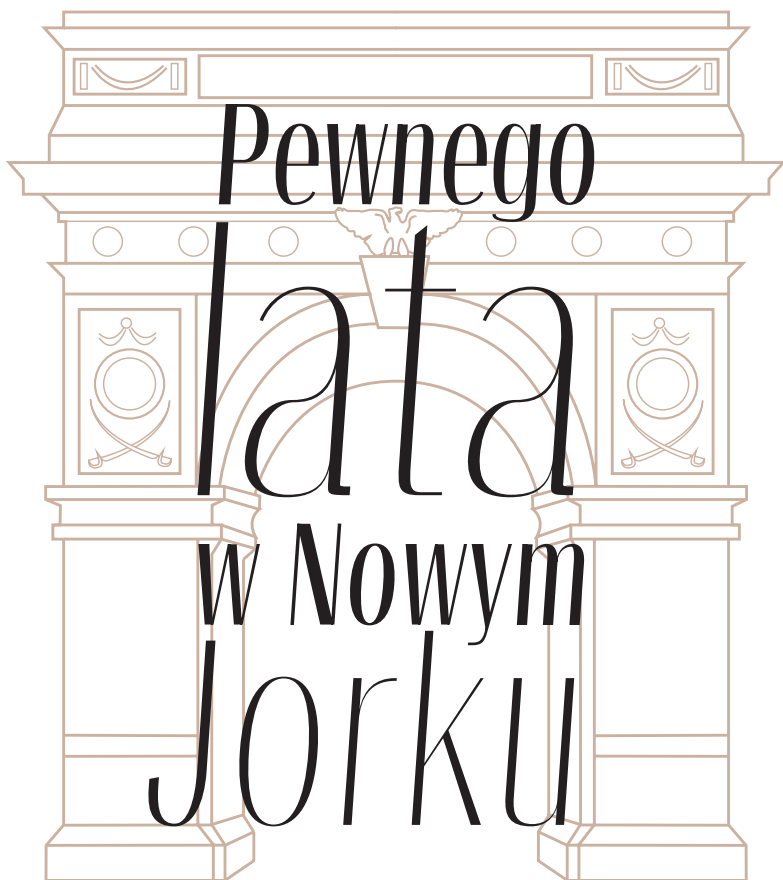




Pewnego
lata
w Nowym
Jorku

JERZY MARCINKOWSKI

Pewnego
lata
w Nowym
Jorku

JERZY
MARCINKOWSKI

Pewnego
lata
w Nowym
Jorku



KRAKÓW 2025

Copyright © 2025 by Jerzy Marcinkowski

Korekta
Jakub Jura

Projekt okładki
Aleksandra Winiarska

Opowiadanie ukazywało się w odcinkach w nowojorskim
„Nowym Dzienniku” od maja do września 2017 roku

Wszystkie znaki i nazwy firm występujące w tekście
są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli

ISBN 978-83-8368-329-4

Księgarnia Akademicka sp. z o.o.
ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
e-mail: publishing@akademicka.pl
<https://akademicka.pl>

Spis treści

Port lotniczy	7
Skrzyżowanie świata	21
Szkoła	27
W czasie wolnym	45
U kontraktora	57
Koncert	89
Ostatnie dni	101
Epilog	109

PORT LOTNICZY

Przez szklaną, przezroczystą ścianę, na podziemnym poziomie, zobaczył liczne samochody starające się przedrzeć w kierunku wyjazdu. Nie potrafił nawet ich nazwać, bo wcześniej nigdy nie widział na własne oczy tych wszystkich chevroletów, pontiaków, oldsmobili, cadillaków, buicków, dodge'ów, jeepów, etc. Zdążył też zwrócić uwagę na żółte taksówki, na nadużywanie klaksonów oraz na fakt, że wszystkie, duże lub małe, przejeżdżające tamtędy pojazdy potrafiły bez większego problemu, bez najmniejszego zarysowania, poruszać się w takim pozornym chaosie. Miał jednocześnie nieodparte wrażenie, że lada moment niektórzy kierowcy wyskoczą ze swoich aut i rzucają się na siebie nawzajem, żeby wyładować frustrację. Nic takiego nie nastąpiło. Nie mogło nastąpić, bo to, czemu właśnie się przyglądał, to był stały rytuał, tak się tutaj po prostu funkcjonowało. Niby chaos, a jednak obowiązywały pewne reguły, nieznane osobom z zewnątrz. To, co miało miejsce poza budynkiem, faktycznie mogło być zaskoczeniem dla kogoś, kto po raz pierwszy w życiu widział taką ilość samochodów zgromadzoną na metrze kwadratowym. Kogoś, kto przyjechał z małego polskiego miasta o wąskich, jednopasmowych ulicach, po

których, w porównaniu ze światowymi metropoliami, jeździło stosunkowo niewiele pojazdów.

Po przejściu kilkudziesięciu metrów, wciąż w budynku lotniska, jego uwagę przykuły długie, czarne, błyszczące limuzyny odbierające pasażerów z zatoczki przy drzwiach wyjściowych – głównie mężczyzn w ciemnych garniturach i z neseserami w rękach lub kobiety w ekskluzywnych sukienkach tudzież garsonkach, którym towarzyszyli bagażowi przewożący walizki na wózkach. Nie mógł stanąć, aby przyjrzeć się bliżej temu mikrokosmosowi, ponieważ kierowca, który po niego przyjechał, kazał mu za sobą iść do windy transportującej podróżnych na zewnętrzny, piętrowy parking. Zauważył jednak jeszcze, jak pewna odlotowa blondynka w zwiewnej, kwiecistej sukience i czarnych sandałach na szpilkach, wsiadając do jednej takiej limuzyny, podziękowała bagażowemu za pomoc i włożyła mu do ręki zwitek dolarów. Ten, ściskając napiwek w dłoni, czołobitnie odsunął się do tyłu, podczas gdy błyszczący krążownik z logiem Lincolna na masce silnika dostojnie odjechał uprzywilejowanym pasem.

W pierwszych chwilach po wylądowaniu chłonał ten nieznaną, upragniony świat. Nie czuł zmęczenia, adrenalina buzowała w żyłach, a wszystkie zmysły teraz, nawet po kilkudziesięciu godzinach podróży, pracowały na pełnych obrotach. Sama świadomość, że już dotarł tutaj, wypełniła go błogostanem. Czuł się, jakby stąpał po ziemi obiecanej. Za chwilę miał opuścić budynek portu lotniczego im. Johna F. Kennedy'ego. Miał wejść do nieznanego świata, który go kusił, ale jednocześnie budził wiele obaw. Drzwi rozsunęły

się. Wyszedł z klimatyzowanego budynku. W tym samym momencie uderzyła w niego mocna fala gorącego powietrza. Tak mocna, że na chwilę zatrzymała go w bezruchu, omal nie przewróciła. Coś takiego przydarzyło mu się po raz pierwszy w życiu. Parę sekund minęło, zanim pokonał tę ostatnią barierę powstrzymującą go przed wejściem do obcej rzeczywistości. Po chwili na nowo ruszył z impetem za kierowcą oddalającym się z jego walizką.

– Zapnij się pasami, bo te amerykańskie kary mają mocne przyspieszenie i mocne hamulce. Żebyś przypadkiem nie wyleciał przez przednią szybę. A poza tym bez beltów można dostać tyket. O, widzę, że ci gorąco. Niestety, tak tu latem bywa. Ale dzisiaj i tak nie jest źle, tylko dziewięćdziesiąt fahrenheitów. Dałoby się nawet wytrzymać, ale wilgotność za wysoka. Ta humidity jest ponad 70 procent. Już włączam kondensyner i robi się kul. No, i jak ci się podoba, Antek? Tutaj to będą na ciebie mówić Tony. A do mnie mów Kaz, od Kazimierz.

– Jest fajnie, ale nie spodziewałem się takiego upału.

Co to są te fahrajty – pomyślał. Nie wszystko rozumiał z tego wyводу, ale pasy oczywiście zapiał.

– Będiesz musiał się przyzwyczaić. A na ile przyjechałeś?

– Dwa miesiące.

– Nie będziesz chciał zostać na zawsze? Tutaj mógłbyś chodzić do szkoły i zrobić karierę.

– Chciałbym wrócić do Polski, za rok matura. Tutaj nie dałbym sobie rady, nawet języka nie znam.

– Po roku mówiłbyś jak tubylec.

Chwilę później pruli już wielopasmową Nassau Expressway. Co za zmiana? – pomyślał. Jeszcze wczoraj był w kraju, gdzie królowały niedorozwinięte technologicznie samochody z demoludów: fiaty, polonezy, zastawy, trabanty czy uznawane za ekskluzywne takie kłokoty jak łady lub wartburgi. Niewiele było w jego mieście zachodnich samochodów. Kiedy już ktoś miał mercedesa, nawet stary model, to był szanowany i uznawany za człowieka sukcesu. Chociaż mówiło się powszechnie, że tylko kombinatorów stać na lepsze auta. A srebrny ford escort, którym taksówkarz z dworca Kraków Główny wioził go na lotnisko i sugestywnie przestrzegał, aby nie trzaskać drzwiami, bo mają wspomaganie, to był już niewyobrażalny luksus. W końcu przybyli nim na lotnisko, ale okazało się, że za wcześnie, bo jedyny pawilon portu lotniczego w Balicach był otwierany o ósmej, więc musiał z bratem, który go odwoził, czekać na ławce przed budynkiem ponad godzinę, zanim zostali wpuszczeni do środka. Następnego dnia po południu, u kresu swojej peregrynacji, znalazł się, tak jakoś bezboleśnie, w samym centrum świata na jednym z największych i najbardziej ruchliwych lotnisk kuli ziemskiej. Poczuł się jakby odbył nie tylko podróż w przestrzeni, ale także w czasie, o wiele lat do przyszłości.

Czuł różnicę rozmiarów i jakości. Wszystko w tej amerykańskiej metropolii było inne niż PRL-owska ponurojakość, a przy tym także niezmiernie interesujące, fascynujące, a niekiedy też szokujące. Nawet ten stary, poobijany chevy-van, którym Kaz wioził go po ulicach Nowego Jorku, zadziwił. Był to raczej samochód transportowy niż osobowy, bo w tylnej części, gdzie nie było siedzeń, znajdowały się narzędzia i kilka

worków cementu. Ten wysłużony pojazd z automatyczną skrzynią biegów wciąż się dobrze trzymał, miał mocne przyspieszenie, klimatyzację działającą jak żyleta (po kilku minutach od uruchomienia zewnętrzny upał już nie doskwierał), a ponadto w samochodzie czuć było przyjemny zapach świeżych owoców. Tosiek wtedy jeszcze tego nie wiedział, ale ta woń wydobywała się z zapachowego słoiczka umieszczonego przy kratce wywietrznika – z czasem zwrócił uwagę na ten fenomen, że nawet najstarsze i zaniedbane samochody zawsze ładnie pachniały. Polskie żuki czy nyski mogły być uznane za nieudaną imitację amerykańskiego vana, który w tej samej chwili, ruszając na światłach, przyspieszył z kopyta i jak równy z równym jechał przez dłuższą chwilę obok czerwonego kabrioleta ford mustanga.

Jechali szerokimi drogami, czasem nad ziemią, czasem pod ziemią. Przejeżdżali przez różne dzielnice. Przez szybę widział Murzynów z boomboxami, chwilę później Żydów, chasydów w futrzanych czapkach i kapeluszach, to znów Latynosów opartych o swoje oldtimery na chodnikach, pijących piwo w puszkach, schowanych w małych, papierowych torebkach. Dalej Chińczyków, Włochów, Hindusów, i tak co kilka przecznic zmieniały się narodowości i rasy mieszkańców. Zastanawiał się, jak będzie wyglądać polska dzielnica, do której właśnie zmierzali.

Podczas tej części podróży dostrzegł facetów grających w kosza, dzieci trenujące baseball i tenisistów na ceglanych kortach. W oślepiającym słońcu i pod błękitnym niebem uprawiano jogging oraz cycling. Były to widoki nieznane w jego mieście.

Intrygowały go wielkie billboardy z reklamami, wszechobecne graffiti, woda tryskająca z hydrantów i wraki samochodów na chodnikach. Ten cały koloryt zachwycił i frapował. Stanowił wielkie przeżycie dla kogoś, kto przyjechał z szarego PRL-u. Wszystko, co tu widział, było jasne, kolorowe, dynamiczne, bogate i opisane atrakcyjnym językiem, którego pomimo kilku lat nauki w kraju jeszcze nie rozumiał. Czuł się oszołomiony, a umysł miał zmacony jak nigdy dotąd.

Gdy zauważył białe szyldy sklepów z czerwonymi, swojskimi napisami „kiszka”, „kiełbasa”, „pierogi”, „obiady domowe”, domyślił się, że zbliżają się do celu. Dojechali na miejsce chwilę po szesnastej. Ciocia już czekała. Jej mieszkanie znajdowało się w jednym z licznych rzędów domów wielorodzinnych w brooklińskiej dzielnicy Williamsburg. Odebrała Antka, Kazikowi włożyła zwitek dolarów do ręki i podziękowała za przysługę. Rzuciła się na Tośka, wyczuła, objęła, przycisnęła do piersi i w końcu wzruszona uroniła kilka łez.

– Ale wyrosłeś! Ostatnim razem widziałam cię, jak miałeś osiem lat. Opowiadaj, co tam słyszeć, jak minęła podróż, co u Małej – u twojej mamy?

Po chwili radosnego powitania, pełnego barwnych opowieści o szarym życiu w Polsce, ciocia Katie podczas posiłku, który przygotowała dla przybysza, przedstawiła mu pokrótce plan na najbliższe tygodnie.

– Według tego, co ustaliłam z twoimi rodzicami, przez cztery tygodnie będziesz chodził na kurs języka angielskiego w NYU. Będzie tam także chodził syn mojej znajomej z Greenpointu i wszystko ci pokaże. Razem będziecie mogli dojeżdżać

subwayem. On tu mieszka już pół roku i będzie chciał zostać w Ameryce na stałe. Teraz ma wizę studencką, ale złożył papiery o zieloną kartę. Twoja mama mówiła, że chciałbyś także coś zarobić. Może uda mi się załatwić u szefa Kaza, żeby wziął cię na jakieś dwa tygodnie do jego szapy. Może sobie zarobisz i zrobisz jakieś zakupy. Czy jest coś, co chciałbyś sobie kupić?

– Super, ciociu, bardzo dziękuję za tak wielką pomoc. Chciałbym bardzo sobie kupić walkmana, najki takie, jak miał Kyle Reese z „Elektronicznego mordercy”, kilka kaset fajnych zespołów i jakieś fajne ubrania i może przenośną grę komputerową „Donkey Kong” – wyliczał kończąc zupełną pomidorową.

– Tutaj możesz sobie kupić to wszystko – mówiła ciocia i jednocześnie podała na stół talerz pierogów ruskich z polskich delikatesów.

– A co to jest szapa?

– To takie miejsce, w którym mieści się firma budowlana. Tak się tutaj nazywa.

Ciocia Katie, siostra mamy Tośka, niezamężna czterdziestolatka, była pielęgniarką w Polsce. Od dziesięciu lat przebywała w Nowym Jorku i w tym czasie pracowała jako opiekunka starszej kobiety na Queensie w dzielnicy Forest Hills. Była to matka jakiegoś dobrze prosperującego lekarza, który nadzorował całodobową opiekę nad swoją rodzicielką i zatrudniał trzy panie do pomocy. Katie wychodziła z domu wcześniej rano i wracała między piątą a szóstą, kiedy zwalniała ją jedna z dwóch osób naprzemiennie przychodzących do czuwania na noc. Miała wolny tylko jeden dzień w tygodniu – niedzielę. W wyjątkowych sytuacjach mogła wychodzić parę godzin wcześniej tak,

jak tego czwartkowego popołudnia, kiedy przyjechał do niej gość z Polski.

Tosiek miał kilka dni laby, żeby się wypaść i dostosować swój biologiczny zegar do nowych warunków oraz sześciogodzinnej różnicy czasowej między Polską a USA. Przez te pierwsze dni zapoznawał się z okolicą blisko domu, na Brooklynie. Rozsmakował się w batonach orzechowych, kokosowych i czekoladowych, które w Polsce mógł sobie pooglądać tylko w Pewexie. O dziwo, nie mógł nigdzie znaleźć gumy Donald, ale szybko odkrył jakieś inne smakołyki dobre do żucia, z owocowym nadzieniem, które mu w zupełności wystarczały, nawet bez historyjki obrazkowej. Dość szybko wydał cały bilon na gry komputerowe w salonie na Bedford Avenue. I przede wszystkim pokochał kolorowy telewizor z niezliczonymi kanałami. To był autentyczny szok dla osoby dysponującej dotychczas jedynie dwoma programami, bo wtedy na nic więcej w Polsce nie można było liczyć. Do gustu przypadły mu kanały z bajkami Disneya, ale najbardziej spodobały mu się seriale, takie jak „The Honeymooners”, „Who’s the Boss?” (wiele lat później pojawiły się w Polsce przeróbki tych seriali z tzw. polskimi gwiazdami. Różnica między amerykańskimi oryginałami a polskimi wersjami była jednak mniej więcej taka, jak różnica między mercedesem a trabantem), „Cheers” i „The A-Team”. Wprawdzie niewiele rozumiał z dialogów, ale podobała mu się gra aktorska, a każda sentencja, którą wyłapał, sprawiała mu wielką frajdę.

I wszystko byłoby piękne, gdyby nie te upały. Po mieszkaniu chodził w samych majtkach, ale mimo wszystko zalewał go pot. Ciocia nie miała klimatyzacji z powodu wysokich kosztów.

Poczuł się częścią krwiobiegu metropolii, tu, w samym jej sercu. Pomyślał, że jest jak krwinka przemieszczająca się z tkanki do tkanki, robiąca coś pożytecznego dla organizmu, niemającego świadomości o jej istnieniu. Choć bez tej jednej krwinki chrząstki i włókna nic nie tracą, to bez tysięcy takich jak ona całe ciało funkcjonowałoby gorzej.

JERZY MARCINKOWSKI urodził się w 1970 roku. Jest autorem wierszy (*Poszli zdobywać świat, Marzyli o podziemnych przejściach, Szept nocy letniej*), opowiadań (*Zbiór nieskończony, Opowiadania nowojorskie*) i tekstów piosenek (*Noc nie kończy dnia, Po czasie, Difference*). Pochodzi z Sanoka. Żyje w Krakowie.



ISBN 978-83-8368-329-4



9 788383 683294